

ZE ZBIORÓW
Działu Dokumentacji ZG ZASP



AL. FREDRO



CIO TUNIA

SEZON 1992/93

SCENA DUŻA

DYREKTOR NACZELNY I ARTYSTYCZNY

ANDRZEJ JAKIMIEC

ZASTĘPCA DYREKTORA

MARIA NIEDŹWIECKA



DYREKCJA I ADMINISTRACJA TEATRU:
BIAŁYSTOK, ul. ELEKTRYCZNA 12

TELEFONY:

CENTRALA: **415-990, 415-973, 415-966**

DYREKCJA: **416-622**

BIURO ORGANIZACJI WIDOWNI: **415-740**



ALEKSANDER FREDRO

Litografia Maksymiliana Fajansa z r. 1852

Od reżysera

Dyrektor Jakimiec jest jednym z niewielu dyrektorów polskich teatrów, którzy doceniają znaczenie twórczości Aleksandra Fredry. I chwała mu za to, że co sezon na scenie białostockiego teatru pojawiać się będzie jakaś pozycja z bogatego repertuaru naszego największego komediopisarza. Komediopisarza, który pisał swe sztuki dla pewnego „typu” teatru. Teatru, który już dzisiaj jest zapomniany. Pisał biorąc pod uwagę „siły i środki” lwowskiej sceny tamtego okresu. Jednakże często dzisiaj słyszy się głosy — i to nie tylko wśród ludzi teatru — Po co grać Fredrę? Przecież to ramoty! Kogo dzisiaj mogą interesować przedstawiane przez niego sprawy, problemy charakteru.

Obłuda, donosicielstwo, zakłamanie, intrygi występują w naszym życiu codziennym ze wzmoczoną siłą. Między innymi dlatego należy Fredrę grać dzisiaj, aby nam to uzmysłowić.

Nie powinno się zapominać, że wszystkie postacie i charaktery Fredro spotykał wcześniej, że przez jego prywatne życie przewijały się „Ciotunie” „Szambelanowie”, „Podstoliny”, „Jowialscy”, „Papkinowie” i cała reszta postaci, które z takim pietyzmem umieszczał w swoich komediach.

Rozejrzyjmy się uważnie wokół siebie — czy nie znajdziemy podobnych „typów”. Trzeba tylko bacznie patrzeć, a nie będzie żadnych kłopotów z rozumieniem.

Po obejrzeniu wielu różnych realizacji utworów Fredry, nasuwa się pytanie: jak należy grać jego sztuki dzisiaj? (Tak! Tak! — wiemy, że dobrze! Ale co to znaczy dobrze?) Wydaje mi się, że trzeba znaleźć styl i charakter wystawianej sztuki. To pierwsza i najważniejsza sprawa przy realizacji — trafić we właściwy „ton”. A znaleźć go wcale nie jest łatwo. Im większe poczucie humoru aktorów i realizatorów, tym łatwiej odtworzyć ów „tonu”. Znaleziony, przenosi się ze sceny na widza.

W przyszłym roku obchodzić będziemy dwusetną rocznicę urodzin Aleksandra Fredry. Mam nadzieję, że dane nam będzie oglądać wiele sztuk tego wspańskiego polskiego pisarza, czego Państwu i sobie życzę.

Tomasz Grochoczyński

OSOBLIWY TON «CIOTUNI»

Wiejska posiadłość Aliny nazywa się cokolwiek śmiesznie — Kogutkowce. Leży na skraju świata — gdzieś za Grodnem, daleko. Jesień tego roku wcale nie jest złota, ale wyjątkowo słotna. Porywisty wiatr zgasił nawet ogień w kominku. Nie wiadomo skąd w progu pojawił się nieznajomy. Był to „jakiś wojskowy... Nagle zasłabł w podróży...”. Znalazł życzliwą gošcinę. Razem z Edmundem — bo tak ów przybysz kazał na siebie mówić — jest tu teraz trzech mężczyzn i trzy kobiety. Cóż więc mogą robić mieszkańcy Kogutkowców, kiedy dworek spowija mgła, a przenikliwe zimno odstręcza od spacerów. Prowadzą między sobą miłosną grę. Krzyżują się intrygi, jeden podstęp goni następny. Obiektem afektów jest oczywiście młody wojskowy. Jacy zabawni są ci ludzie — udający miłość i przekonani o wzajemności. Autor *Ciotuni* drwi z pychy, głupoty, niewczesnych uczuć, zarozumiałstwa. Owa Fredrowska kpina chwilami jest niemal tak ostra, jak w *Mężu i żonie*. Wydaje się nawet, że i akcja zmierza w podobnym kierunku. Było to jednak tylko chwilowe złudzenie. Pojawiają się w tej komedii tony dziwnie delikatne. To one stanowią osłonę prawdziwej miłości, która — to prawda — pojawia się rzadko, ale jednak istnieje i jest wtedy czysta i niewzruszona. Zarazem słowa refleksji poświęcone kobiecie i uczuciu, jakie potrafi ona wzbudzić w mężczyźnie, na moment odsłaniają twarz samego Fredry, tym razem dziwnie rozpogodzoną.

Ciotunię pisał zapewne w drugiej połowie 1833 roku lub w pierwszych miesiącach 1834. Nie tak dawno ukończył wreszcie *Zemstę*, znacznie przerabiając jej brulionową wersję. W szufladzie trzymał rękopis *Dożywocia*, ale ciągle nie był pewien, w jakim kierunku ostatecznie tę komedię rozwinąć i poprowadzić. Niejako więc dla wytchnienia szybko stworzył swą *Ciotunię*, zrazu nie przywiązując do niej większej wagi.

Zresztą był tego roku szalenie zajęty. Kończył skomplikowane rachunki z rodziną swojej żony, Zofii z Jabłonowskich. W czerwcu 1833 roku spalił mu się dom zajezdny w dziedzicznych Rudkach. Pospieszenie organizował budowę nowego. Ciągle miał zaległe sprawy w dawnych majątkach ojca — Ciśnie i Jatwiegach. Postanowił również zrobić od dawna odkładany przegląd piwnicy. Okazało się, że ma w niej ponad trzysta butelek wina. Były wśród nich prawdziwe rarytasy: słodkawe stare „z moim herbem, z krzyżami” i takie „z dużym herbem jegomości (ojca) ze Lwowa stare, ostre”, a także „lubieńskie na konserwę z czarną pieczętką” i „maślaczek korczyński”.

Aleksander Fredro porządkował sprawy gospodarskie z taką energią, jaką daje szczęście rodzinne, które zarazem obliuguje do męskiej, mądrej odpowiedzialności. W czasie pisania *Ciotuni* jej autor miał już czterdzieści lat, z których ledwie pięć ostatnich przyniosło stabilizację w sferze uczuć.

Teatr Dramatyczny im. Al. Węgierki w Białymstoku

Aleksander Fredro

CIOTUNIA

Obsada:

ALINA	DOROTA RADOMSKA, JOLANTA BOROWSKA
PANNA MAŁGORZATA	DANUTA KIERKLO
FLORA	GRAŻYNA JUCHNIEWICZ
EDMUND	ANDRZEJ L. PETELSKI, KRZYSZTOF ŁAWNICZAK
ZDZISŁAW	JERZY SIECH
SZAMBELAN KAWALERSKI	ANDRZEJ KAROLAK
JAN, SŁUŻĄCY EDMUNDA	WIESŁAW OSTROWSKI

Rzecz się dzieje na wsi, w domu Aliny

Opracowanie muzyczne: **Marek Niedzielko**

Asystent reżysera, inspicjent: **Wiesław Ostrowski**

Scenografia: **Magdalena Dipont**

Sufler: **Cecylia Mancewicz**

Reżyseria: **Tomasz Grochoczyński**

Premiera — 18 października 1992 r.

Historia miłosnych afektów Fredry była bowiem długa i burzliwa. Początkowo zdawała się być podobna do perypetii właściwych komediom. Później jednak przypominała raczej dramat, który łatwo mógł się przemienić w tragedię. Młodość Aleksandra, upływająca w podlowskiej Beńkowej Wiszni pod okiem pobłażliwych nauczycieli domowych, wśród pięciu braci i trzech siostr, nad którymi pieczę po wczesnej śmierci matki trzymał ojciec, była pełna wesołości, żeby nie powiedzieć bez troski, i w sferze uczuć zupełnie niewinna. Szkołą życia stał się dopiero sześćioletni bez mała pobyt w polskim wojsku, które u boku Napoleona brało udział w kolejnych kampaniach: austriackiej, rosyjskiej i niemieckiej. Jako żołnierz zrazu nastoletni, a potem już dwudziestolatek układał wcale nie niewinne wierszyki i bynajmniej nie jednoznaczne poemaciki. Podczas pobytu z wojskiem w Saint Denis a wraz z oficerami sztabowymi w Fontainebleau robił częste wypadki do Paryża, aby tam szukać rozrywki w teatrach i zapomnienia u boku ładnych dziewcząt, uprawiających najstarszy zawód świata. Wspominał je wkrótce nawet z pewnym żalem, gdy w drodze powrotnej do Galicji zatrzymał się na parę tygodni w Wiedniu. „Jakże Ci wspomnieć, kochany Józefie — pisał do wieloletniego towarzysza broni, Grabowskiego — o tutejszych dziewczętach; ręka moja drętwieje, boleść duszę przenika, że stolica narodu cywilizowanego nie posiada tych łudzących stworzeń, na których łonie nieszczęśliwi znajdują pociechę [...]. Zamiast tych dziewcz krzywo-brudno-śmierdzące grubopłaskie granatniki.” Wiedeńskie przygody miłosne Fredry nie należały zapewne do najbardziej udanych, skoro okazał się tak nieelegancki w doborze słów, mających określić walory spotkanych tam pańienek.

Miesiące, zwłaszcza karnawałowe, jakie Fredro spędzał we Lwowie po powrocie z wojen, chyba były swoistym odreagowaniem strachu, zmęczenia, widoków śmierci, poniewierki, rozczarowań. Sposób bycia dwudziestoparoletnich niedawnych wojskowych był wyrazem ich witalności, która domagała się spontanicznej radości i żartu nie skrzepowanego żadnymi konwencjami. „Wtenczas te Fredry chodzili po głowach — opowiadały jakieś zgorzone matrony — i nie można było się nigdzie obrócić, aby się nie natknąć na Fredrę. Trzeba się było chować przed nimi, bo i z ołtarza byliby zdjęli, a do tego jeszcze i takie wiersze pisali, że nawet starszym uszy od nich trzeszczały. Poważniejsi ojcowie familii [...] mocno na nich za to nosem kręcili, a przy tym puszczały w obieg złośliwe wieści, że nawet nie wiedzieć, skąd się ci Fredrowie wzięli na świecie.”

Młodzieńcza radość wcale się jakoś nie wyczerpywała, a przygody, miłości, drobne salonowe intryżki, uwodzenia i zwodzenia trwały nie tygodnie i miesiące, ale całe dwa lata. I pewnie Fredry dalej by na głowach chodzili i t a k i e wiersze pisali, gdyby nie ona. Piękna, ledwie dziewiętnastoletnia, osamotniona, choć mężatka, o ogromnych oczach wypełnionych smutkiem — Zofia z Jabłonowskich. Poznali się zapewne w karnawale 1817 roku i pokochali od pierwszego wejrzenia. Cóż jednak z tego, skoro ona już od paru lat była żoną hrabiego Stanisława Skarbka. Dużo od niej starszy, z natury zgrzybliwy i do tego skąpy mąż nie interesował się swą młodziutką połowicą.

Aleksandra Fredrę natychmiast odeszła ochota do żartów i swawoli. Zauroczone Zofią i zakochany bez reszty odkrywał nie rozpoznane wcześniej odcienie miłości. Niedawny bałamat poważnie traktował teraz swoje uczucia. „Słyszał[eś] i czerpał[eś] ten ogień — pisał do Ignacego Konarskiego — który przy wszystkich dręczeniach za szczęście jednak uważam. Kochałeś, wiesz, jak nas ta namiętność odmienia, jednak pewnie nigdy tak jak ja gwałtownie jej nie doznałeś; serce bowiem Twoje łatwiejsze do przyjęcia każdego wrażenia, moje zaś trudniejsze, dlatego nie zna środka. Książki, wiersz, wszystko zaniedbuję, miłość całego mnie zajęła.”

Istotnie, zajęła go bez reszty, i to na długie lata. Najpierw bowiem rodzice Zofii nie chcieli słyszeć o rozwodzie ze Skarbkiem. Kiedy wreszcie wyrazili zgodę, trzeba było prośbę skierować do Watykanu. I pozostawać w niepewności przez wieki. On — wrażliwy i zarazem skryty — cierpiał chyba jeszcze dotkliwiej niż ona. Starał się żyć nawet normalnie niż dotychczas. Prowadził gospodarstwo w Jatwiegach, małym dworku położonym nieopodal Rudek. Debiutował jako komediopisarz. W niektórych latach udawał mu się wypuścić aż kilka utworów. Ale czasem, i to z nienacka, dopadały go i przejmowały nad nim władzę rozpacz i samobójcze myśli. Wieczorem 7 kwietnia 1820 roku długo nie mógł zasnąć. O jedenastej zapisał parę zdań. „Cóż za niewstrzymane pragnienie śmierci oparowało istotę moją... Nie tyle strudzony podróżny snu pragnie, nie tyle rolnik w upały czystego źródła, ile ja godziny rozstania z życiem. [...] Jedne pociągnięcie... da mi spoczynek. Ach, ojczy, kochany ojczy, winienem ci poświęcenie siebie. Nie zasmucę twoje późne lata zgonem przedwczesnym. [...] Moje życie, które co dzień ważniejszym dla mnie się staje, to życie obrzydłe, ściśle z najdroższym dla mnie życiem bywa połączone. Więc lękam się chwili, kiedy będę wolny zniszczyć sam siebie. O, żyj, ojczy, żyj jak najdłużej, ja cierpieć będę. Twoje życie tak piękne — tylu potrzebne. Ale moje?...”

Bracia Aleksandra, zwłaszcza Jan Maksymilian i Henryk, bez żadnych z jego strony napomknień ani tym bardziej wynurzeń, coraz lepiej orientowali się w tych udrękach serca i niemożności normalnego działania. Maksymilian, starszy od niego najprawdopodobniej o całych dziesięć lat i ciągle pozostający dla Aleksandra niekwestionowanym autorytetem, zdołał go z początkiem 1824 roku namówić na przyjazd do Florencji, gdzie miała oczekiwać upatrzona przez rodzinę kandydatka na żonę. „Nie uwierzysz, kochany Aleksandrze — pisał do Florencji Maksymilian — jaką radość u nas sprawił list Papy, który nam Twój przyjazd donosi. Spodziewam się, iż znajdziesz przez to szczęście, któregoś tyle godzin i którego Ci z głębi prawdziwie przywiązanego do Ciebie serca życzę. Nie wątpię ani chwili, że się Elżbiecie podobasz, byleś sam chciał, a ona zaś, choć nie jest piękną, nie może się nie podobać przez wyraz słodczy i prawdziwej anielskiej dobroci.”

Aleksander Fredro rozstawnymi końmi pędził ze Lwowa przez Wiedeń do Florencji, gdzie stanął z początkiem marca 1824 roku, aby do owej słodczy i dobroci panny Buturlin przekonać nie serce, bo to było jednak niemożliwe, ale choćby rozum. Został serdecznie przyjęty przez Maksymiliana i jego żonę, Praskowię z Gołowinów. Składał wizyty za-

praszany przez różne lordowskie i książęce mości. Spotykał się z tą, którą rosyjscy hrabiowie chcieli mu oddać za żonę. I pewnego dnia bez żadnych wyjaśnień wyjechał. Najpierw skierował się do Neapolu, ale nie dojechawszy tam zawrócił na północ. W drodze do Lwowa wstąpił do Korczyny, gdzie czekała na niego Zosia.

Była widać dla niego przeznaczona. Rozwód uzyskała po kolejnych czterech latach. Ślub wzięli 9 listopada 1828 roku. W niespełna rok później, 9 listopada, przyszedł na świat ich pierworodny syn, Jan Aleksander. Byli wtedy bardzo szczęśliwi. Ale wkrótce dosięgły ich nowe zmartwienia, żeby nie użyć nadto patetycznego słowa: tragedie. Najpierw doświadczyli nadziei, ale zarazem i lęku o najbliższe osoby, wywołanej wybuchem powstania listopadowego. Oczekiwali wtedy następnego potomka. Gustaw urodził się 19 listopada. Wkrótce jednak zaczął chorować i zmarł 7 marca 1831 roku. Fredro zapisał wówczas w książkach gospodarskich: „Uciekł z kajdan niemieckich. Mniej jednego Polaka cierpiącego.” Wiosną następnego roku urodził się trzeci syn. Po dziadku ze strony matki Aleksandra dostał imiona Jan Nepomucen. Niebawem zmarł.

Po tych nieszczęściach trzeba było dojść do siebie. Należało ukryć swój smutek jak najgłębiej i podjąć normalne działania. Ukończył więc Fredro *Zemstę*. Załatwił zaległe sprawy gospodarskie i regulował rachunki. Sięgnął do piwnicy po stare wina. Zima 1834 roku była jakoś dziwnie nietypowa. „Do 4 stycznia piękna jesień, od 4 do 20 śnieg, zadymiki, a od 20 do 27 ogromne wichry, deszcze” — zanotował w książkach gospodarskich, w których o pogodzie nigdy nie pisał. Właśnie w takie zimno i słotę, kiedy w małym dworku w Kogutkowcach stanął zegar i ogień zagaśił w kominie, zajechał jakiś wojskowy, skrywający niejedną tajemnicę: i własnej osoby, bo w rzeczywistości był Astolfem, a nie Edmudem, i jedynej, prawdziwej miłości, której pozostał wierny mimo szybko ukutych intryg.

Kiedy Fredro pisał *Ciotunię*, psychicznie był znacznie silniejszy niż dawniej. I to zapewne pozwoliło mu odsłonić trochę własnych emocji. Z reguły postępował zupełnie inaczej. Uważał bowiem, że „są dramata serca, których nikt drugi ani widzieć, ani zrozumieć, ani pojąć nie może. Te raki nurtujące w duszy — bolesne, ale znośne są tylko tajemnicą. Biada temu, kto by chciał otworzyć ranę. Nie wyleczy, a powiększy cierpienie.”

KIEROWNIK BIURA ORGANIZACJI WIDOWNI

KATARZYNA OŹLAŃSKA

KIEROWNIK TECHNICZNY:

JERZY TABORSKI

KIEROWNIK DZIAŁU ADM.-GOSP.:

TADEUSZ KUCZYŃSKI

KIEROWNICY PRACOWNI:

krawieckiej damskiej — **WIESŁAWA PERKOWSKA**

krawieckiej męskiej — **MIECZYŚLAW NEWEL**

stolarskiej — **JERZY RYBNIK**

fryzjersko-perukarskiej — **ANTONINA PAWLUCZUK**

malarsko-modelatorskiej — **ZBIGNIEW ŻDANIEC**

elektrycznej — **IRENEUSZ PIEŃCZYKOWSKI**

akustycznej — **WALDEMAR DOJLIDKO**



ZG ZASP **PROPOZYCJE**
TEATRU DRAMATYCZNEGO im. AL. WĘGIERKI
w sezonie 1992/93

DUŻA SCENA

BIAŁE MAŁŻEŃSTWO reż. A. Jakimiec	T. Różewicz	STALOWE MAGNOLIE reż. J. Korf (USA)	R. Harling
ŚLUBY PANIEŃSKIE reż. T. Grochoczyński	A. Fredro	CIOTUNIA reż. T. Grochoczyński	A. Fredro

MAŁA SCENA

ZAPISKI OFICERA ARMII CZERWONEJ reż. A. Jakimiec	S. Piasecki	NIENAWIDZĘ reż. J. Hutek	M. Koterski
OPOWIEM WAM O ESTER reż. M. Andrzejewski	M. Hłasko	POLOWANIE NA KARALUCHY reż. J. Różewicz	J. Glowacki
Z POWODU MOKREGO ŚNIEGU reż. W. Rajewski (Białoruś)	F. Dostojewski	EMIGRANCY reż. A. Jakimiec	S. Mrozek
		DWA RAZY TAK reż. W. Wolański	H. Schmidt i T. Jones

SCENA X

MISTERIUM O MĘCE MISTERIUM O ZMARTWYCH- WSTANIU reż. J. Skotnicki	wg J. Skotnickiego	LIST Z AMERYKI reż. A. Jakimiec	B. Madej
O ŁAJDACTWACH MĘSKICH opieka reż. A. M. Marczewski	P. Aretino	LETTYCJA I LUBCZYK reż. A. Jakimiec	P. Shaffer
		TERMINATOR reż. A. Jakimiec	P. Handke

W PRZYGOTOWANIU

JACEK I PLACEK reż. W. Wolański	J. Rochowiak	REWIZOR reż. W. Rajewski	M. Gogol
JAK SIĘ KOCHAJĄ W WYŻ- SZYCH SFERACH reż. A. Jakimiec	A. Ayckbourn		